

Birma: to nie jest wojna buddystów z muzułmanami

Bertil Lintner, były korespondent z Birmy niedziałającego już czasopisma „Far Eastern Review”, odwiedził ten kraj po raz pierwszy w 1977 r. Przez niemal trzydzieści lat pisał o nadużyciach reżimu wojskowego, sprawującego tam rządy w latach 1962-2010.

Z powodu swojej działalności Lintner w 1985 r. został wyrzucony z Birmy przez władze reżimowe. Pomimo zakazu wjazdu do kraju, wraz z żoną i nowonarodzoną córką przedostał się przez granicę od strony Indii, przez Naga Hills. Przez osiemnaście miesięcy wraz z rodziną podróżował przez prowincje Szan i Kaczin, żeby w końcu trafić do Chin, stawiając po drodze czoła nie tylko niegościnnemu terenowi, ale również wielu uzbrojonym grupom etnicznym. Efektem podróży Lintnera jest książka pt. „Land of Jade: A Journey from India through Northern Burma to China” (Kraina jadeitu. Podróż z Indii, przez północną Birmę, do Chin), uznana za jedną z najbardziej wnikliwych prac poświęconych wielu konfliktom etnicznym i grupowym w Birmy. W rozmowie z portalem Scroll.in szwedzki autor opowiada o kryzysie uchodźców z grupy Rohingya i o tym, co oznacza on dla Indii i dla regionu.



Bertil Lintner

Jak postrzega pan obecny kryzys jako wieloletni obserwator sytuacji w Birmy?

Cóż, nie jest to nowa kwestia. Mamy tu dwa aspekty. Pierwszy to nielegalna imigracja, czy to prawdziwa, czy zmyślona. Drugi to islamskie bojówki. 25 sierpnia 2017 r. ugrupowanie, które określa się mianem Armii Zbawienia Arakan Rohingya, zaatakowało komisariaty policji w stanie Rakhine, co sprowokowało zdecydowaną odpowiedź ze strony sił bezpieczeństwa Birmy. Od tamtej pory ponad sześćset tysięcy Rohingya uciekło do Bangladeszu. Oczywiście bardzo ważny jest tutaj aspekt humanitarny. Ludzie padali ofiarą brutalnych działań ze strony birmańskiej armii. To jednak nie jest wszystko. Po represjach ze strony wojska, rzecznik Armii Zbawienia Arakan Rohingya powiedział w jednym z wywiadów, że ataki na placówki policyjne miały właśnie na celu sprowokowanie odwetu.

Co rebelianci na tym zyskują? Po pierwsze, uwagę społeczności międzynarodowej. Po drugie, jeszcze więcej pieniędzy od sponsorów z Azji Zachodniej, zwłaszcza z Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Po trzecie, oczekują, że dołączy do nich jeszcze więcej młodych, gniewnych

mężczyzn. Być może uzyskali nawet odrobinę więcej niż to, o co walczyli.

Prawdopodobnie nie przewidzieli tak mściwej odpowiedzi ze strony armii, ale moim zdaniem osiągnęli wszystkie z powyższych celów. W konsekwencji cierpią oczywiście zwykli ludzie, biedni muzułmańscy wieśniacy z południowo-zachodnich regionów stanu Rakhine. Stali się oni pionkami w większej grze.

Istnieje jednak dość dowodów na to, że Rohingya w Birnie byli przez lata poddawani regularnym represjom. Birma nie uznaje ich nawet za grupę etniczną. Czy nie jest to celowa próba podważenia praw społeczności, która zamieszkuje kraj od dłuższego czasu?

Odpowiedź brzmi: tak i nie. Muzułmanie żyli w Birnie od dawna. Co do tego nie ma wątpliwości. Jest to miejsce, w którym kończy się subkontynent indyjski i zaczyna Azja Południowo-Wschodnia. Tędy przebiega rzeka Naf, która stanowi obecnie granicę pomiędzy Birmą a Bangladeszem. Przez wieki po obu jej stronach mieszkali i buddyści, i muzułmanie. Nie było w tym nic złego. Muzułmanie od dawna zamieszkiwali północno-zachodnie obszary stanu Rakhine. Nie podlega to dyskusji.

W czasach Imperium Brytyjskiego muzułmańscy robotnicy zostali sprowadzeni na drugi brzeg rzeki. Nie nazywano ich jednak Rohingya, lecz Czittagong. Owszem, istnieje dokument z 1799 r. sporządzony przez Francisa Buchanana-Hamiltona, w którym to słowo pada, ale tylko jeden raz. Hamilton został wysłany na misję do Birmy przez komisję ds. Indii Wschodnich. Nigdy nie dotarł do stanu Rakhine. Udał się do Awa i Amarapura, miast w pobliżu dzisiejszego Mandalay. Tam spotkał ludzi z Arakan (jak wcześniej nazywano Rakhine), którzy mówili o sobie „Rohingya”. Przez następnych sto pięćdziesiąt lat nie ma ani jednej wzmianki o tym słowie.



Uchodźcy Rohingya w Indiach, strzeżeni przez wojsko

To oczywiście nie sprawia, że posługiwanie się nim jest błędne. Niemniej jednak oddzielna tożsamość muzułmanów z północno-wschodnich regionów Rakhine, mówiących w dialekcie czittagong języka bengalskiego, jest nową koncepcją. Należy pamiętać o tym, że nie wszyscy muzułmanie, nawet w stanie Rakhine, uważają siebie za Rohingya. Ludzie, którzy utożsamiają się z tą grupą, są obecni na wspomnianych terenach od bardzo dawna. Kwestia ich tożsamości jest wykorzystywana przez radykalne grupy do celów politycznych. Zdaje się, że dopiero od niedawna wielu ludzi zaczęło mówić o sobie jako o Rohingya.

Od jak niedawna?

W niektórych przypadkach od kilku lat. Tak naprawdę stało się to popularne w latach 90.

Jednak już w latach 50. XX w. rząd Birmy używał terminu Rohingya.

Tak, zgadza się, ale należy pamiętać, że nie wszyscy byli zadowoleni ze stosowania tego określenia. Po uzyskaniu przez Birnę niepodległości w 1948 r., w północno-wschodnich regionach Rakhine doszło do powstania muzułmanów. Jednak nawet wtedy muzułmanie nie mówili o sobie Rohingya, lecz określali siebie mianem mudżahedinów (bojowników). Dążyli do połączenia ze wschodnim Pakistanem. Bunt skończył się fiaskiem.

Następnie, w latach 50. część z nich, ale nie wszyscy, zaczęła nazywać siebie Rohingya. Taka postawa nosiła oznaki separatyzmu. W literaturze propagowanej przez Rohingya można przeczytać, że w latach 50. w rządzie służyło kilku ministrów Rohingya. Nie jest to prawda. W rzeczywistości z tej części kraju wywodził się tylko jeden minister – Sultan Mahmud. Był muzułmaninem, lecz nie uważał się za Rohingya. Mówił, że jest muzułmaninem arakańskim. U Nu, ówczesny premier, promował określenie Rohingya, ponieważ potrzebował głosów muzułmanów.

Niezależnie od sytuacji z lat 50. duża część muzułmanów w stanie Rakhine utożsamia się dziś z określeniem Rohingya i jest prześladowana. Jak może pan to wyjaśnić?

Przede wszystkim należy zdać sobie sprawę, że Birnę zamieszkuje duża społeczność muzułmańska. Większość z nich mieszka w miastach. Prowadzą własne interesy, mają birmańskie nazwiska, mówią w języku birmańskim, są obywatelami Birmy. Historia muzułmanów w Birnie jest długa i odegrali oni w tym kraju istotną rolę. U Razak, muzułmański przywódca z lat 40., został zamordowany przez Aunga Sana (premiera brytyjskiej kolonii w Birnie) i uważany jest za męczennika. Innym z muzułmańskich przywódców w Birnie był U Raschid, urodzony w Allahabadzie. Był wysoce szanowanym przywódcą studenckim w latach 30. Upi U Pe Khin był z kolei jednym z twórców porozumienia z Panglong z 1947 r., które nadawało autonomię w administracji wewnętrznej ludności Szan, Czin i Kaczin na terenach określanych wówczas mianem Obszarów Granicznych.

Nie ma więc konfliktu muzułmanów z buddystami. Rohingya odróżniają się jednak od reszty społeczeństwa. Nie mówią po birmańsku. Używają dialektu czittagong językach bengalskiego, w którym mówi się po drugiej stronie granicy, w Bangladeszu. Dlatego też większość ludności Birmy postrzega ich jako nielegalnych mieszkańców. To jednak nieuczciwe, ponieważ większość z nich zamieszkuje Rakhine od naprawdę długiego czasu.



Birmańczycy demonstrują poparcie dla rządu

Napisał pan, że powiązania przywódców Armii Zbawienia Arakan Rohingya z ugrupowaniami ekstremistycznymi wskazują na ich szerszy plan dotyczący regionu. Dlaczego pan tak uważa?

Powodem jest sama nazwa. W ich dialekcie określają siebie mianem Harakah al-Yaqin, co oznacza „ruch religijny”. Ugrupowania narodo-etniczne nie nazywają siebie „ruchami religijnymi”. Poza tym przywódca tego ugrupowania, Ataullah Abu Ammar Junjuni, nie pochodzi z Rakhine. Urodził się w Karaczi, w Pakistanie, a następnie mieszkał w Arabii Saudyjskiej, gdzie został imamem. Mniej więcej w 2012 r. zaczął interesować się tym zagadnieniem. Prawdopodobnie jego rodzice pochodzą ze stanu Rakhine.

Ma więc korzenie w tym regionie.

Oczywiście. Słuchałem jego wystąpień. Nie potrafi poprawnie wymówić nazwy choćby jednej miejscowości w stanie Rakhine. Mówi w bengalskim dialekcie czittagong, uzupełnionym słowami z języka urdu. Większość jego bliskich współpracowników w organizacji pochodzi z Karaczi lub z Bangladeszu.

Czy metody, którymi posługuje się jego ugrupowanie, różnią się od metod innych narodo-etnicznych grup powstańczych w Birmie?

Pozostałe etniczno-narodowe grupy powstańcze w kraju działają w sposób zbliżony do tradycyjnej armii. Noszą mundury, mają stopnie wojskowe, organizują się w plutony, kompanie i brygady. Noszą pistolety automatyczne i karabiny maszynowe. Jak pokazały zamachy z sierpnia 2017 r. i z października 2016 r., metody Armii Zbawienia Arakan Rohingya zdecydowanie różnią się od powyższych. Mobilizują oni setki wieśniaków, okrążają cel i sprawiają wrażenie posiadania większej liczby wojowników, niż w rzeczywistości. Dysponują niewielką ilością broni palnej. Używają głównie sztyletów, włóczni i noży. Ich działania przypominają bardziej maoistów w Nepalu i w środkowych Indiach, niż sposób postępowania jakiegokolwiek innej grupy etnicznej w Birmie.

Co pana zdaniem stanowi o sile tego ugrupowania?

Tak naprawdę nie wiadomo. Przed zamachami z 25 sierpnia ich siła polegała na liczebności. Około pięciuset, sześciuset z nich przeszło szkolenie w obozach treningowych w Bangladeszu. Szkolili ich weterani wojny w Afganistanie. Wielu z członków grupy, około stu pięćdziesięciu, uważa się za obcokrajowców, w tym za Banglijczyków. Niektórzy bojownicy pochodzą z Pakistanu, Indonezji, dwóch z Uzbekistanu, kilku to Malajowie, ale nie wiadomo, czy pochodzą z Malezji, czy z południowej Tajlandii.

Jeśli stanowią przypadkową grupę ludzi prawdopodobnie niepochodzących nawet z Rakhine, co sprawiło, że walczą wspólnie o niepodległość tego stanu?

Jakość i wielkość grupy nie uwzględnia lokalnych rekrutów. To młodzi ludzie, którzy przez lata byli źle traktowani. Dlaczego jednak mieliby tu przyjeżdżać Pakistańczycy, Uzbegy i Malajowie? Wszyscy ci ludzie tak naprawdę mówią o džihadzie.

Czy cieszą się oni w regionie poparciem ludności, która uważa się za Rohingya?

Niewielkim. Ludność jest mocno podzielona. Obwinia Armię Zbawienia za zamachy z 25 sierpnia. Ludzie pytają: „Dlaczego to zrobiliście? Dlaczego ich sprowokowaliście?”. Armia Zbawienia Arakan Rohingya dobrze to rozegrała w czasie. Raport Kofiego Annana dotyczący kryzysu i krytykujący Birmę ujrzały światło dzienne całkiem niedawno. Zamachy całkowicie przekreśliły ten raport. To nie był w żadnym razie zbieg okoliczności. Rebelianci chcieli bardziej zmilitaryzowanej przestrzeni. Choć

z jednej strony ludzie obwiniają ich o sprowokowanie armii, z drugiej strony, zgodnie z oczekiwaniami, poparło ich wielu młodych.

Zachodnie media szczególnie krytycznie odnoszą się do birmańskiej szefowej rządu Aung San Suu Kyi oraz do tego, w jaki sposób zarządza kryzysem. Jak pan to skomentuje?

Mimo iż w Birmie w 2015 r. odbyły się uczciwe wybory, władze wciąż sprawują wojskowi, kontrolując trzy najważniejsze ministerstwa. To, co się dzieje, całkowicie wymyka jej się z rąk. Nie może ona zrobić zbyt wiele. Wojskowi odbierają rozkazy od przywódców sił zbrojnych, a nie od wyłonionego w wyborach przywódcy.

Premier musi zachować bardzo delikatną równowagę. Założmy, że opowie się po stronie Rohingya. Byłoby to polityczne samobójstwo. Wiadomo, jakie jest zdanie większości jej elektoratu w tej sprawie. Gdyby zaś poparła skrajną Partię Narodową Arakan, zebrałaby cięgi od zachodniej prasy. Jeśli nie zrobi nic, również spotka się z krytyką, tak jak ma to miejsce obecnie. Jest w bardzo trudnej sytuacji.

Jedyną rzeczą, którą mogła zrobić, a której nie zrobiła, było udanie się do Sittwe (stolicy stanu Rakhine) i spotkanie się z niektórymi spośród wybranych polityków. Premier nie lubi przedstawicieli Partii Narodowej Arakan, więc tego nie robi. Musi jednak pokazać, że w Rakhine również jest przestrzeń na działalność obywatelską. Nie musi nic mówić, może po prostu pojechać do szpitala, spotkać się z członkami każdej społeczności. W ten sposób mogłaby rozszerzyć bardzo ograniczoną przestrzeń obywatelską.

W przeciwieństwie do wielu zachodnich demokracji, Indie nie odpowiedziały na kryzys w Rakhine jednoznacznie krytyką. Czy to słuszne podejście ze strony hinduskiego rządu?

Nie mnie oceniać, czy słuszne, czy nie, ale faktem jest to, że dwaj najważniejsi sąsiedzi Birmy - Indie i Chiny - nie dołączyli do Zachodu w krytyce. Wydarzyło się tak oczywiście z przyczyn strategicznych. Dla Chin Birma ma duże znaczenie z powodu dostępu do Oceanu Indyjskiego. Dla Indii kraj ten stanowi bramę do Azji Południowo-Wschodniej.

Rząd Indii przyjął bardzo twarde stanowisko w stosunku do uchodźców Rohingya. Stwierdził wręcz, że mogą oni stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Co pan o tym sądzi?

Prawdopodobnie było to podyktowane względami bezpieczeństwa. Czy obecnie stanowią oni zagrożenie? Póki co, nie ma na to dowodów. Biorąc pod uwagę, że w Bangladeszu jest już prawie osiemset tysięcy uchodźców, dokąd mają się udać? Kraj ten jest już przeludniony. Pozostał tylko jeden mniej zaludniony teren - wzgórza Czittagong. Jeżeli moje informacje są sprawdzone, zamieszkujące ten region buddyjskie społeczności Czakma i Marma mają w związku z tym duże obawy.

Co oznacza ten kryzys dla Azji Południowej?

Jest chyba za wcześnie, żeby odpowiedzieć na to pytanie. Nagle w regionie pojawiła się ogromna grupa uchodźców. Nie jest tajemnicą, że duża liczba islamskich ekstremistów zamierza z tego skorzystać. Ugrupowania w Indonezji, Bangladeszu i Pakistanie polują na okazje do rekrutacji nowych członków. Pojawienie się bojówkarzy może mieć na region bardzo niekorzystny wpływ.

Należy również pamiętać, że wkrótce w Bangladeszu odbędą się wybory. Pamiętajmy, że Bangladesz zaproponował kiedyś przeprowadzenie wraz z armią Birmy wspólnej operacji przeciwko buntownikom Rohingya, a na początku odmawiał nawet przyjęcia uchodźców. Kiedy jednak strumyk

zmienił się w tsunami, premier Sheikh Hasina wraz z rządem zmieniła stanowisko. Miało to zapobiec wykorzystaniu sytuacji przez fundamentalistyczną partię Jamaat-e-Islami z Bangladeszu.

Jeżeli do władzy dojdzie Narodowa Partia Bangladeszu, wspierana przez Jamaat, znany z bliskich relacji z powstańcami Rohingya, bezpieczeństwo może być zagrożone. Dlatego Sheikh Hasina chce pokazać, że stoi po stronie uchodźców.

Jak ocenia pan ostatnie porozumienie o repatriacji pomiędzy Birmą i Bangladeszem?

Jest to gra pod publiczność. Nie dojdzie do tego. Po pierwsze, musi nastąpić weryfikacja. Większość z tych ludzi tymczasem nie ma papierów. Kolejny powód jest następujący - czy oni tak naprawdę chcą wrócić? Moim zdaniem brutalność zaprezentowana przez armię miała sprawić, żeby ludzie ci nigdy nie wrócili. Do czego mieliby wrócić? Wszystkie ich domy zostały spalone.

Czy widzi pan rozwiązanie kryzysu w najbliższym czasie?

To wielki znak zapytania. Szczerze mówiąc, nie wiem. Czy uchodźcy mogą zostać w Bangladeszu? Owszem, mogą, ale będzie to oznaczać kłopoty na wzgórzach Czittagong. Możliwość udania się do innego kraju? A kto by ich przyjął?

Tłumaczenie Bohun, na podst. www.irrawaddy.com